

MATURA'86

Maturę zdałem w zapomnianym już roku 1986 – tym. Kilkanaście dni przed pierwszym pisemnym egzaminem – a więc gdzieś pod koniec kwietnia – nastąpił wybuch w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Być może to przypadek, ale niebo po eksplozji przybrało na długi czas niespotykaną jak na nasze warunki klimatyczne, piękną, turkusową barwę.

Byliśmy już wyłączeni z codziennego szkolnego życia, a jedynym naszym zadaniem było jak najsolidniejsze przygotowanie się do maturalnych egzaminów. Zdaniem nauczycieli, jak zwykle kładących nacisk na sumienność i systematyczność, przygotowywanie się do matury u progu maja mogło polegać li tylko na powtarzaniu opanowanego już wcześniej materiału, na odświeżaniu kolejnych porcji wiedzy. Niekтары z nas jednak – w tym także i ja – usiłowali rozpaczliwie nadrobić spędzany przeważnie na słuchaniu odtwarzanej ze starych magnetofonów kasetowych marki Grundig głośnej muzyki, czytaniu książek, których próżno by szukać w zmurszałym wykazie szkolnych lektur, czy oddawaniu się urokom i klęskom największych miłości w życiu czas i w tym celu, niczym dawni odkrywcy, mozolnie i ze zdziwieniem przedzierali się przez dziewicze, nietknięte ludzkim wzrokiem, strony opasłych podręczników do historii czy języka polskiego.

Niekiedy, znudzony długotrwałą wędrówką przez nieskończenie rozległe kontynenty epok historycznych lub pełne sztywnych i nudnych bohaterów literackich łądy, udawałem się wraz z kolegą Kalim na dużo bardziej realistyczną, a co za tym idzie powabniejszą, włóczęgę po mieście. Kolega Kali chodził do równoległej klasy o profilu matematycznym. Nigdy się nie dowiedziałem, skąd wzięło się jego dziwne przezwisko, był już nim wyróżniony gdy go poznałem. Bezcelowe wędrówki szybko nas zużyły. Słońce, zawieszane wysoko na czystym, pozbawionym nawet najmniejszych obłoków nieboskłonnie, paliło niemiłosiernie i prędej czy później nachodziło nas nieprzezwyciężalne pragnienie, aby położyć się gdzieś w cieniu, prosto na gołej trawie. Na miejsca spoczynku nie wybieraliśmy jednak, jak mogłoby się wydawać, ukwieconych podmiejskich łąk ani porośniętych starymi drzewami chłodnych parków, ale małe, okolone niedużymi żywopłotami, miejskie skwerki. Kładliśmy się w wysokiej, miękkiej trawie, kryjąc się w rzucanym przez niskie krzaki wątłym cieniu i patrzyliśmy z pogardą w oczy mijającym nas, zdziwionym lub wręcz zniesmaczonym, przechodniom. Właśnie ta możliwość bezpośredniej konfrontacji, próby sił z utartymi zwyczajami naszego miasteczka, wedle których nie wypada ludziom z dobrych domów wylegiwać się na trawnikach, przesądzała zwykle o takim, a nie innym wyborze miejsca do leniuchowania. Niestety, wkrótce trawa porastająca osiedlowe skwerki padła ofiarą uzbrojonych w małe, hałaśliwe kosiarzki przedstawicieli służb komunalnych i nasza negacja zastanego porządku musiała znaleźć sobie inne formy wyrazu. Na świeżo skoszonej trawie – mimo że aromat jaki rozsiewała był wprost zniewalający – nie dało się po prostu leżeć: była zbyt sztywna i kłuła w siedzenie.

A potem nadszedł pierwszy maja.

Nie zrobiłem tego samego błędu, co w drugiej klasie. Zresztą, to nie był jeden błąd, to były dwa błędy, z których drugi, o wiele poważniejszy, stanowił konsekwencję pierwszego.

Najpierw, mimo licznych napomnień, nie poszedłem na pochód. Po prostu. Najgorsze jednak było dopiero przede mną. Nazajutrz nasza wychowawczyni, ucząca historii pani Ułan, wzięła do ręki listę, na której

dnia poprzedniego czarnym długopisem zaznaczała obecność na pochodzie.

- Barowska... chora – mruczała pani Ułan wyłapując nazwiska, przy których brakowało charakterystycznej fajeczki. – Trębacz... Trębacz!

Jacusz Trębacz wstał gwałtownie odsuwając krzesło.

- Proszę, pani profesor.

- Dlaczego nie byłeś na pochodzie?

- Bo..., bo.... – kolega Jacusz nabrał powietrza w płuca, lekko pociągnął nosem i wypalił: - bo miałem katar, a wczoraj padał deszcz i mama mnie nie puściła.

O dziwo: pani Ułan przyjęła to niedorzeczne usprawiedliwienie. Jaki katar? Jaki deszcz? Te parę ciepłych, wiosennych kropelek, którymi niebo litościwie skropiło zakurzone ulice ? Z prawdziwą pogardą spoglądałem w owej chwili na kolegę Jacusia. Jak on mógł się tak poniżyć? I to właśnie on: mierzący metr osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu przystojniak o pełnych ustach i kręconych cherubinowych lokach, za którym szalała połowa dziewczyn z całego ogólniaka i który już w pierwszej klasie wybrany został miażdżącą przewagą głosów na mistera szkoły, co było wydarzeniem bez precedensu w dziejach naszej placówki. Stał teraz z płonącymi ze zdenerwowania policzkami i bredził coś o katarze i mamusi... . „Co za upadek” – pomyślałem z wyższością, po czym wstałem i odpowiadając na analogiczne pytanie pani Ułan – dlaczego nie byłeś na pochodzie? – wygłosiłem beczelnie szczery w swej naiwności monolog o potrzebie poszanowania różnorodnych poglądów domagając się tym samym zrozumienia dla swojego braku akceptacji aktualnego porządku politycznego.

Pani Ułan zmarszczyła groźnie czoło, a liczne srebrne kółka opasujące jej przegub zagrzechotały złowieszczo.

- Chodź no tutaj – powiedziała. – Co masz za dwa lata? - spytała, gdy podszedłem do biurka.

- Proszę? – wybąkałem bezradnie, zupełnie zbity z tropu.

Owszem, zdarzało mi się niekiedy planować coś kilka tygodni naprzód (wtedy, w maju myśli moje zaprzątnięte były na przykład zbliżającymi się, upragnionymi wakacjami), ale dwa lata to była przyszłość równie odległa jak emerytura.

- Co masz za dwa lata ? – powtórzyła z uporem nasza wychowawczyni, odsłaniając w uśmiechu zniszczone, żółte zęby (ich kolor był naturalną konsekwencją wypalanej codziennie od lat ogromnej ilości papierosów).

- Nie wiem – poddałem się.

- Za dwa lata masz maturę – oznajmiła triumfalnie pani Ułan – i jeśli chcesz ją zdać, to chodź na pochody.

Tak więc nadszedł pierwszy maja i oczywiście wziąłem udział w pochodzie. Zresztą, utrzymujący się wciąż zabójczo piękny błękit nieba nie dawał w tym roku nikomu – nawet Jacusiowi Trębaczowi – pretekstu do wymówienia się złą pogodą... . Dopiero kilka lat później, już po upadku tzw. „komuny”, dowie-

działem się, że długotrwałe przebywanie na powietrzu tuż po wybuchu w Czarnobylu – nie mówiąc o wylegiwaniu się w nieskoszonej trawie – było najprawdopodobniej szkodliwe dla zdrowia. Gdyby władza mniej dbała o pozory, to powinna była wszystkie pierwszomajowe pochody odwołać... .

Ostatnia klasa szkoły średniej to był czas przyspieszonej socjalizacji polegającej na nabywaniu umiejętności dokonywania wyborów między czarnym a białym, a tak naprawdę na uświadomieniu sobie, że wybór może być tylko jeden. Na jednej szali spoczywała nasza przyszłość: dopuszczenie do matury, zdanie teże i, ewentualnie, start na studia. Na drugiej leżało to, z czego - przynajmniej pozornie, deklaratywnie, czasowo - należało zrezygnować: pewna mniejsza lub, jak w naszym wypadku, większa niepokorność i abnegacja przejawiająca się zarówno w wyglądzie – przydługie włosy, połatane dzinsy – jak i w niechęci do spędzania wolnego czasu w sposób odgórnie, instytucjonalnie zorganizowany i akceptowany. Można było oczywiście – choć nie znam nikogo kto by się na to odważył – odrzucić zgniły kompromis i spróbować postawić na swoim. Ale wtedy, po nieudanej maturze, czekało na nas wojsko, którego za wszelką cenę, nawet kosztem całkowitego konformizmu, chcieliśmy uniknąć.

Pierwszego września, podczas uroczystego rozpoczęcia roku szkolnego, nasz dyro – pan Stanisław Żuber – oznajmił:

- Chciałbym przypomnieć, że w październiku odbędą się wybory do sejmu. Obecność wszystkich tych, którzy do tego czasu będą mieli ukończone osiemnaście lat jest mile widziana – zakończył wpatrując się w zajęte przez nas, tegorocznych maturzystów, ostatnie rzędy.

Kolega Kali urodził się wiosną, ja pod koniec lata, nie pozostawało nam więc nic innego, jak – mimo przeróżnych, nawołujących do bojkotu haseł, typu: „jesteś dumny idź do urny” – w wyznaczoną, słoneczną, jesienną niedzielę udać się do lokalu wyborczego. Spośród długiej listy nazwisk uwagę naszą przykuło jedno, należące do znanego i skądinąd sympatycznego byłego sportowca. Był to jedyny znany nam kandydat i nic dziwnego, że – niezależnie od siebie – wyraziliśmy chęć, aby to właśnie on reprezentował nas w sejmie. Nazajutrz okazało się, że podobnego zdania była większość naszych pełnoletnich kolegów, a nawet część, oczywiście pełnoletnich, koleżanek. W tej sytuacji oczywistym wydawał się fakt, że ów kandydat – jak dowiedziałem się przypadkiem jakiś czas później – cel swój osiągnął, plasując się – niczym w szczytowym okresie swojej długiej i pełnej sukcesów kariery sportowej - w czubie wyborczego peletonu.

Po pokonaniu wszystkich przeszkód i dopełnieniu niezbędnych formalności mogliśmy przystąpić do egzaminów. Z pierwszego dnia matury najbardziej pamiętam kanapki. Zazwyczaj stres działa zabójczo na mój apetyt, ale widok pięknie przystrojonych listkami sałaty bułek z żółtym serem i wędliną sprawił, że po przepisaniu na kartkę wybranego tematu wypracowania zrobiłem sobie krótką przerwę i zabrałem się do konsumpcji.

Egzaminy przebiegały nadzwyczaj pomyślnie – z pisemnego polskiego dostałem nawet piątkę, co uprawniałoby mnie do zwolnienia z egzaminu ustnego, gdyby nie fakt, że na świadectwach z klas trzeciej i czwartej przy przedmiocie język polski widniała ocena dostateczna – aż do ostatniego dnia. Niczym maratończyk, który przekroczywszy z dużą przewagą nad rywalami bramę stadionu witany już jest na stojąco owacją tłumów jako przyszły, bezkonkurencyjny zwycięzca, potknąłem się i zachwiałem. A z tysięcy rozentuzjasmowanych gardel wydobyło się głośnie westchnienie....

Tego dnia niewidzącą, ale wierną publicznością byli moi koledzy i koleżanki z klasy, którzy - jako że mając nazwisko na „Z” zdawałem ostatni – zgromadzeni w komplecie na szkolnym korytarzu, z niedowie-

rzaniem spoglądający na zegarki odmierzające prawie czterdziestą minutę po moim zniknięciu, czekali już tylko na mnie. Konkurencją był język rosyjski, a moim przeciwnikiem koścista i chuda jak szczapa, zahartowana w boju, pani profesor Maria Andrzejewska. Pani Andrzejewska nie znosiła mnie. I nie wiadomo co ją bardziej irytowało: mój wygląd – pani Andrzejewska była surowym stróżem niepisanych norm określających wygląd ucznia szkoły średniej końca ery realnego socjalizmu – czy też mój rzucający się w oczy brak chęci opanowania podstaw nauczanego przez nią przedmiotu. Gwoli sprawiedliwości dodam, że moja niechęć do pani Andrzejewskiej była, przełamując prawa fizyki, jeszcze większa. Do frustracji doprowadzały mnie jej kąśliwe uwagi dotyczące długości moich włosów czy zbyt luźnego ubioru.

- Umawialiśmy się dzisiaj na fryzjera – mówiła lustrując mnie wzrokiem i zamykając przed nosem drzwi do klasy.

Na domiar złego pani Andrzejewska była nadzwyczaj wymagającym pedagogiem, a ja, czy to z racji nikłej sympatii do języka rosyjskiego czy też braku talentu do języków obcych w ogóle, nie mogłem sprostać jej wymaganiom. Miarą mojej tępoty był fakt, że nie potrafiłem poprawnie wydukać nawet jednego zdania w języku Puszkina. W końcu, po trzech latach przepychanek i uzyskiwanych w ostatnich chwilach promocjach, wpadłem na genialny pomysł: przemagając lenistwo uczyłem się wszystkiego na pamięć. Uczynne koleżanki z mojej klasy – całkowicie bezinteresownie – oraz kumple z klas równoległych – w zamian za sklecane naprędce wypracowania z języka polskiego – pisali mi krótkie streszczenia opowiadań, charakterystyki głównych postaci i najprzeróżniejsze opracowania. Uczyłem się ich z podziwu godnym samozaparciem na pamięć, aby następnie, wywołany do odpowiedzi, wyrecytować je przed całą klasą lub, podczas częstych klasówek, przelać słowo w słowo na czystą kartkę papieru.

Metoda ta przyniosła zdumiewająco pomyślne rezultaty – na koniec klasy maturalnej byłem nawet bliski otrzymania czwórki z języka rosyjskiego. Ten wyraźny postęp oraz fakt, iż w ostatnim czasie zrezygnowałem z nadmiernej ekstrawagancji w ubiorze i dbałem o to, aby długość moich włosów nie raziła zbytnio grona szacownych profesorów, sprawiły, że do egzaminu z rosyjskiego przystępowałem pełen optymizmu. Wykuwszy na blachę kilkadziesiąt streszczeń i opisów pewnym krokiem wszedłem do sali. I do dzisiaj nie wiem czy to pech, czy zwykłe przeoczenie sprawiły, że wśród tych pieczołowicie zeskładowanych w szufladkach mojej pamięci tematów nie było tego, który wylosowałem, a który dotyczył historii podboju kosmosu. Zaliczone odpowiedzi na pozostałe dwa pytania nie mogły uratować mnie od klęski; dzieje kosmicznych wypraw nie były może całkiem mi obce – wiedziałem mgliście co to Wostok czy Sputnik, nie mówiąc o szczerym współczuciu jakie żywiłem dla złożonej na ołtarzu nauki biednej Łajki - lecz konieczność, ujętego dodatkowo w ramy chronologii, zrelacjonowania ich w jakimkolwiek obcym języku przekraczała zdecydowanie moje, mizerne przecież, zdolności. Rusycystka zasiadająca z panią Andrzejewską w komisji próbowała naprowadzić mnie na trop pytaniami pomocniczymi, ale ja nie potrafiłem zrewanżować się żadną sensowną wypowiedzią, a w końcu zamilkłem zupełnie. Zerknąłem dyskretnie na panią Andrzejewską: spoglądała gdzieś w bok, może w okno, unikając mojego wzroku. Znałem to spojrzenie i wiedziałem co oznacza: wyrok już zapadł. I wtedy do akcji wkroczyła pani Ulan. Kazała mi przesiąść się do ostatniej ławki, a sama podjęła próbę mediacji. Pertraktacje trwały długo i do prawdy nie wiem jakie argumenty przemówiły ostatecznie na moją korzyść. Może niezaprzeczalny fakt poczynienia przez ostatni rok sporych postępów w nauce, a szczególnie w języku rosyjskim? A może decydująca okazała się okoliczność, iż poprzednie egzaminy zdałem nadspodziewanie dobrze i warto by przymknąć oko na to jedno, dzisiejsze, kto wie czy nie spowodowane nadmiernym zmęczeniem – wszak to przecież ostatni dzień matur - potknięcie? Niewykluczony był też uprawiany często wśród nauczycieli

handel wymienny – słynąca z ogromnych wymagań pani Ułan mogła zaproponować pani Andrzejewskiej ocalenie jakiegoś zagrożonego na koniec roku dwóją z historii imbecyla z jej klasy w zamian za uratowanie mojej głowy. Koniec końców zostałem poproszony na powrót przed szacowną komisję, a rusycystka, która już wcześniej usiłowała mi pomóc – pani Andrzejewska przez cały czas patrzyła w okno, jakby dystansując się od zachodzących wydarzeń - spojrzała na mnie z miłym uśmiechem i rzekła:

- No dobrze. To powiedz nam co umiesz.

Po wyjściu z klasy teatralnym gestem osunąłem się w mocne ramiona kolegi Jacusia.

Kilka dni wcześniej, jako pierwszy rocznik w historii, zdawaliśmy egzamin z PNOS – u. Czegóż można było oczekiwać od przedmiotu, którego pełna, rozwinięta nazwa – Propedeutyka Nauki o Społeczeństwie – była kompletnie niezrozumiała, i który, jak się wkrótce potem, podczas studiów, przekonałem, był właściwie wstępem do materializmu historycznego ? Siedzieliśmy oniemiały na lekcjach, a wyfruwające masowo z ust pani Ułan dziwaczne pojęcia – takie jak „siła robocza”, „wartość dodatkowa” czy „środki produkcji” – mające nam przybliżyć prawa rządzące rozwojem społecznym rozbijały się bezgłośnie o pancerz naszej obojętności. Sam egzamin przebiegł jednak gładko. Pan Orłowski, mimo stosunkowo młodego wieku całkiem już posiwiwały zastępca dyrektora, zapytał mnie o mające niedawno miejsce dramatyczne wydarzenia w umiejscowionej w Indiach czy Pakistanie dużej fabryce chemicznej. Otóż w wytwórni tej, będącej własnością koncernu amerykańskiego, doszło do groźnego, skutkującego ofiarami śmiertelnymi, wybuchu. Zadaniem moim było usytuowanie tego wydarzenia w kontekście prowadzonej przez Zachód eksploatacyjnej polityki względem krajów tak zwanego trzeciego świata. Moja wypowiedź, z pasją obnażająca nie liczące się z dobrem miejscowej ludności i nastawione wyłącznie na zysk mechanizmy działania rządów państw kapitalistycznych, spotkała się z całkowitą aprobatą. Klasę opuszczałem z oceną dobrą.

O Czarnobyl nie zapytał nikt.

01'2004

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

andres, dodano 27.01.2020 11:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.